

Tatry Zachodnie

Migawka

Po co ja idę w te góry?

Będę się wspinał samotnie, mozolił, pocił, dźwigał ciężki plecak, znosił niewygody, a nawet ryzykował życiem. Jak zwykle unikam schronisk, więc mam ze sobą śpiwór i zapas jedzenia na trzy dni. W drodze mam zamiar uzupełniać zapasy wody z górskich potoków. Ale w związku z tym, że wybrałem szlak po słowackiej stronie niemalże cały czas granią, bez schodzenia do dolin, to jednego dnia muszę dźwigać ze sobą całą wodę – dobrych kilka kilogramów więcej. Spory wysiłek i dyskomfort, więc i powód dla którego to robię, dobija się gwałtownie o uznanie w mojej głowie.



Kozica. Fot. Ryszard Kulik

Nie wiem. Wiem tylko to, czego doświadczam tu i teraz. Może właśnie w samym tym doświadczeniu są odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Nawet na te, których nie zdążyłem jeszcze zadać?

Wspinam się na Wołowiec, powyżej 2 tys. m n.p.m. Dolina Chochołowska, skąd zaczynam wędrowkę jest jak ruchliwy deptak w centrum miasta. Setki, a może tysiące turystów (choć chyba bardziej spacerowiczów) kierują się w stronę schroniska. Część z nich podwozi się dorożkami góralskimi lub imitacją kolejki napędzanej przez przebrany w parowóz ciągnik. Wokół rozpościerają się lasy świerkowe dość mocno eksploatowane przez prywatnych właścicieli. Słychać grające piły, widać

leżące w wielu miejscach dłużyce. Ponad tym zamieszanem górują tatrzańskie szczyty - obietnica spokoju. Pnę się tam mozolnie, pozostawiając za sobą (nie)ludzki harmider. Potoki stają się węższe, lasy przerzedzają się, aż w końcu ustępują miejsca kosodrzewinie. Ale i płaty kosówki kurczą się w miarę wchodzenia wyżej. Pojawiają się za to cudownie pachnące łąki wysokogórskie z bogactwem kwitnących roślin. Przy porywach wiatru i świecącym mocno słońcu zaciągam się tym ciężko słodkim zapachem. Jeszcze i jeszcze, aż zamykam oczy, by wrażenie było tym intensywniejsze. To tu, to tam spotykam na swej drodze kozice, pojedyncze i całe stada. Nie boją się mnie w ogóle. Mogę podejść na dość bliską odległość i popatrzeć im w oczy. Patrzymy tak na siebie w nieruchomości, z wyraźnym zaciekawieniem, aż w końcu coś innego rozprasza naszą uwagę. Cieszę się, że te dzikie zwierzęta nie uciekają przede mną, bo to oznacza, że od pokoleń nikt na nie tutaj nie poluje. Możemy się chwilę poobserwować, a następnie znudzeni udać dalej swoją drogą.

Na samej górze tylko nieliczne rośliny są w stanie utrzymać się przy życiu. Zaczyna się królestwo skał. Piargi, okruchy skalne, rumowiska i turnie budzą lęk swoją surowością, niedostępnością i gwałtownością w wertykalnym układaniu przestrzeni. Z góry widzę miasta i wioski. To, co na dole jest wielkie: ludzkie budowle, formy i sprawy - tutaj wydaje się być małe. Tak małe, że nie widać ludzi. Życie (nie tylko ludzkie) gęstnieje tam na dole. Wraz z wysokością staje się mniej zuchwałe i ekspansywne. W końcu płatami kosodrzewiny i hał próbuje zasiedlać dogodne miejsca, ale ostatecznie ustępuje wobec radykalizmu skał i turni, pozostawiając jedynie liszaje porostów na powierzchni kamieni.

Tak, na samej górze, na ostrych graniach życie nie ma łatwo. Za to łatwo stracić życie. Każdy mój krok, każde postawienie stopy jest dokładne i uważne. Moja świadomość jest maksymalnie skoncentrowana i przyziemna. Tutaj każda nieuwaga może drogo kosztować. Groza. Gdy dodatkowo, nagle, wilgoć podobna do potężnego potwora bierze w posiadanie przestrzeń i kładzie się swoim cielskiem najpierw na szczytach, by później sunąć szelestnie w dół dolin - robi się naprawdę złowieszczo. W tych niesprzyjających warunkach, w przestrzeni tak ogromnej jak oddech wszechświata odczuwam swoją samotność. Im większa przestrzeń mnie otacza, tym wyraźniej czuję siebie. Jestem. To JESTEM jest jak przeszywający na wskroś dreszcz, który nabrzmiały od istnienia może niczym powietrze wystrzelić w tę ogromną przestrzeń, która mnie otacza. Jest w tym rodzaj uwolnienia, bo nagle moje granice rozpływają się i sam staję się tą przestrzenią. Oddycham i z każdym oddechem zapominam o sobie. Tutaj nie ma znaczenia, jakim jestem człowiekiem, co robię tam na dole, jakie sprawy noszę w swojej głowie i sercu. To wszystko rozpływa się jak mgła w promieniach słońca. W tej jednej chwili, tracąc siebie, zyskuję wszystko. Cisza, milczenie, choć wszystko jest przestrzennie jasne i oczywiste.

Teraz mogę już zejść na dół.

Ryszard Kulik